Ner 34. Kraków 15 października 1867. Rok II.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

☛ Podaliśmy w zeszłym kwartale dwa razy z kolei utwory do śpiewu, wypadają więc teraz dwa razy utwory na fortepian. Załączamy przy dzisiejszym numerze większą kompozycją oryginalną „Gwiazdka nad Polską" — mazurka przez F. Guniewicza, autora znanego oratorium „Niewola Babilońska". Załączone dwa arkusze muzyczne liczą się zatém za październik i za listopad.

Dwory i chaty.

„Potrzeba nam zbliżyć się do ludu", — to zdanie słyszymy już od tylu lat powtarzane w szpaltach dziennikarskich, w poufnych pogadankach, w toastach; a jednak dotąd tak mało znać owocu naszych usiłowań w tym względzie; ogromnie daleką musi być przestrzeń, która nas dzieli od ludu, kiedy dotąd zbliżyć się nie mogliśmy. Nie wchodząc w powody, które sprowadziły ten rozdział, nie chcąc grzebać w trumnach przeszłości i pytać umarłych, po któréj stronie wina, czy słusznie lud stroni od nas i niedowierza nam — poprzestajemy na fakcie samym, że tak jest — a że tak jak jest, jest źle i dla ludu i dla nas, więc powinniśmy się starać, aby tak nie było. Dotychczasowe usiłowania rozbijały się o twardy mur obojętności i niedowierzania; — lud uchyla się od podanéj mu ręki, z obawą zagląda do książek i dzienniczków, które za pół darmo wtykają mu propagatorowie oświaty, a słowo: ojczyzna, Polska, do dziś dnia wstręt budzą w ludzie. Nie łudźmy się pod tym względem optymistycznemi sprawozdaniami z pojedyńczych miejsc o patriotycznych uczuciach ludu, o gorliwości, z jaką czytują podane im książki; — właśnie to zbytnie wyświecanie pojedyńczych objawów pokazuje, że one należą do małych wyjątków; ktokolwiek bliżéj zetknął się z ludem, był w téj i w innéj okolicy, rozczaruje się prędko ze złudzeń optymistycznych. (Mówię tutaj przeważnie o Galicyi, bo o stosunkach ludu do inteligencyi w Poznańskiém, jako mało mi znanych, sądzić nie mogę.)

Ale nie cała przyczyna téj nieudałéj pracy leży w obojętności i niedowierzaniu ludu; wielka część winy, amoże przeważnie większa leży po stronie naszéj — wielu bierze się do téj rzeczy pozornie, powierzchownie, więcéj ze strachu przed opinią i przed krwawém widmem 1846 roku, niż z pobudek czysto postępowych, chrześciańskich. Ileż to razy zdarzało mi się widzieć po wsiach, jak ten sam dziedzic, który przy żniwie, na boisku, na łąkach silił się o zawiązanie rozmowy z wieśniakami, którzy półsłówkami i nieszczerością odpowiadali mu na te braterskie afekta, który ściskał ich dłonie — unikał rozmowy z nauczycielem wiejskim lub organistą, uważał sobie za ubliżenie podać im rękę. Czemu? Wszak tych ludzi wykształcenie (jakiekolwiek ono było) bardziéj zbliżało do niego, wszak ci ludzie mieli także udział w oświacie ludu? — Smutna wypada odpowiedź na to pytanie. Dziedzic bał się chłopów, a nauczyciela się nie obawiał, i ztąd różnica w obejściu się.

Drugim błędem, który udaremnia naszą pracę, jest niezręczne zabranie się do niéj. Nasłuchałem się nieraz wielu rozmów obywateli z chłopami i uważałem, że wszystkie te rozmowy miały zakrój polityczny; mówiono im o królach polskich, o narodowości, o ojczyznie, o patrjotyzmie — zgoła silono się mimowiedzy na to, aby wieśniaka zrazić, odstręczyć, rozpoczynając z nim o przedmiotach, które mu są wstrętne lub obojętne.

Chcąc żyć z ludem, trzeba rozpocząć od rzeczy, które go najwięcéj obchodzą i dotyczą, trzeba go zagadać o jego gospodarstwo, o jego troski i kłopoty domowe, oświecać go w tym względzie, dawać zbawienne rady, a jeżeli jest potrzeba i możność — udzielić pomocy — poprostu, nie trzeba mu się narzucać z apostolstwem, ale być jego sąsiadem.

Wielki udział w téj pracy przypada na Was Szanowne Panie. Wy znacie lepiéj te tajemnicze drogi, któremi się dochodzi do zdobywania sobie serc i przychylności ludzkiéj, nie marnujcież więc téj siły na próżną kokieterję, ale jéj użyjcie na przyswojenie nam tylu tysięcy ludu, który jak zlodowaciałe głazy cięży na niwach naszego politycznego życia, przygniata je i mrozi. Natura obdarzyła Was cierpliwością, która się

nie zraża niepowodzeniem i umie czekać, pracować w ciszy, jak mrówka. — Mężczyzna zdolny jest myśleć o ogóle, Wy umiecie zająć się szczegółami — nie stawiając zasad, idei, umiecie je wykonywać w praktyce; praca organiczna, o której teraz tyle piszą i mówią, w Was może najwięcéj ma robotnic.

Zbytecznėm by było poddawać Wam sposoby zajęcia się ludem, dobroć Wasza i przenikliwość znajdzie ich więcéj, niżbym ja tutaj mógł podać, wszystkie drogi są Wam otworem. Jako lekarki, jako opiekunki, jako nauczycielki, jako przyjaciołki macie przystęp do tego ludu, który do Was z większą garnie się ufnością niż do Waszych ojców i mężów. Koło drzwi dziedzica czekają ludzie na wypłatę i robotę — koło okien dziedziczki schodzą się po léki, pomoc, radę i pociechę.

Wydobycie szkół ludowych zpod nieprzyjaznych wpływów, a oddanie ich pod kierunek Rady szkolnéj, ułatwiło Wam o wielę tę pracę, ale nie uwolniło od wpływu na szerzenie oświaty. Ważna to rzecz, zkąd wychodzi oświata? Oświata sama nie daje społeczeństwu harmonii. Patrzymy na tylu oświeconych ludzi, jakże wrogo stają przeciw sobie, jakie babelskie u nich pomieszanie pojęć i obowiązków, jak odmiennéj natury są cielce, którym się kłaniają. Czemu? Bo oświata ich nie ma podstaw czysto narodowych i czysto chrześciańskich, każdy wymyśla sobie jednodniowe bogi, i co dziś zdradą nazywa, jutro chrzci imieniem patrjotyzmu. Wy, których Bóg nie dotknął straszną kolowacizną dyplomatyczną, chrońcie lud od takiego zamętu, wpływajcie na jego oświatę jako Polki i Chrześcianki.

Ale szerząc oświatę między ludem, trzeba samemu się kształcić i iść z postępem wiedzy. Wielka stagnacja w handlach księgarskich, szczupła ilość prenumeratorów na dzienniki krajowe — dają złe świadectwo o umysłowym ruchu w Galicyi. Powszechnie oskarżają nas o to. Że powodem tego nie jest ubóstwo kraju (boć na inne mniéj ważne potrzeby nam wystarcza), ale pewna ociężałość i obojętność — każdy sumienny a bezstronny człowiek mi przyzna. — I na tém więc polu czeka Was praca Szanowne Panie. Historja ostatnich kilku wieków nas przekonywa, że kobiety wielki wpływ wywierały na rozwój literatury i sztuki, że w miarę ich wykształcenia rozszerzała się oświata. Nie dozwólcież więc, aby ta miara u nas tak skąpą być miała. Wielka jest przyszłość pokolenia, które będzie miało wykształcone matki. — Stając więc z jednéj strony jako ogniwa między dworem i chatą, stańcie się również dbałemi o własną oświatę i o własny język.

Dziś, kiedy tak wołamy o ten język, kiedy każde ustępstwo pod tym względem ze strony rządu uważają nasi mężowie stanu jako wielką łaskę, lub wielkie zwycięztwo — powinniśmy pokazać, że ten język jest nam rzeczywiście drogi. Chcemy mieć ten język w szkołach i urzędach, a wyganiamy go z fabryk, sklepów i komptoarów, nie wpuszczamy go do salonów. Szczególniéj towarzystwa wyższe popełniają tę niekonsekwencyą do tego stopnia, że kaleczenie własnego języka na rzecz francuskiego, liczy się jeżeli nie do cnót, to do zalet towarzyskich. Śmiesznieby było, gdybym tu chciał występować przeciw uczeniu się obcych języków; ale niech ci, co ich się uczą, nawet ze szkodą krajowego, odpowiedzą mi, dla czego się uczą? — Wszak język każdego narodu powinien nam służyć do przyswojenia sobie tego, co ów naród ma pięknego i pożytecznego. Czy u nas tak jest? — Niech na to odpowiedzą księgarnie, w których tak nędzny jest wybór zagranicznych arcydzieł. Nie sprowadzają, bo ich nikt nie czyta. Dla czegóż więc ci ludzie uczą się tak skwapliwie obcych języków? Dla popisu przed sobą — i dla tego, aby nie być zrozumianymi od lokai i służących. Godny cel zaiste zabiegów i ważny powód zapoznawania własnéj mowy.

Kto zmuszony tułać się po obcych ziemiach ze łzami radości chwytał każde słowo w ojczystéj wyrzeczone mowie — ten ocenić może, co to za skarb jest ojczysta mowa, i z litością patrzeć będzie na tych, co takie skarby marnują.

E.

Szkic do poematu.

* * *

Czemu Hanna taka niewesoła,
Piękną główkę tuli w dłonie obie,
Chmura smutku wieje od jéj czoła,
Jak cień lampy płonącéj na grobie?

Ot niedawno swobodna i płocha,
Samo szczęście z pięknéj bije twarzy:
Dziś poważna — spokojna, bo kocha,
A tęskliwa, żałosna — bo marzy;

Dni nie wiele — pięknego wieczoru —
Księżyc w okna zaglądał komnaty,
Pod ścianami białego jéj dworu
Hasło zgonu — zagrały armaty.

Bój się stoczył zażarty i w chwale,
Powiał sztandar Korony i Litwy,
Trąby grały zwycięzko — Moskale
Trupem swoich zasłali plac bitwy.

Słońce wstało po nad walki błonie,
Twarz ma krwawą, jak lice upioru —
Braci rannych na zwycięzkiéj stronie,
Sługi niosą do białego dworu.

Wpośród rannych był jeden — zeń szaty
Świętokradzkie obrwały dłonie,

Jak car w kresty był w rany bogaty —
A tak piękny, jak dusza przy zgonie.

* * *

Miesiąc ubiegł — choć łoże boleści
Rzucił zdrowy, w białym dworku gości,
Hanna sercem i myślą go pieści —
On jéj śpiewa piosenki miłości.

* * *

Jak lilja w białych szat obsłonie,
Blada Hanna w oknie dworca stoi —
Serce głośno w drżącém bije łonie —
Młodzian klęczy u kolan dziewoi.

Księżyc ukrył w chmury blade lica —
Kwiaty wonne zamknęły kielichy,
Gdy je zbudził kochanków szept cichy,
On coś mówił: „podstęp.... tajemnica“....

Coś rzekł daléj — coś mówiła ona —
Jeden wyraz słyszałem: Moskale!
I dziewica upadła zemdlona —
Świeżych ustek pobladły korale.

* * *

W białym dworku katafalek stoi —
Wieniec myrtu i szat białych fala
Tulą serce umarléj dziewoi —
Co wybrała zgon — niźli Moskala.

Pamięci Heleny.

(WSPOMNIENIE.)

Widziałem — gdy ją wiedli w całunów żałobie
Białą — bielą posągów mistrzowskiego dłuta,
Jasną — jasnością lampy płonącéj na grobie.

Wśród szeregu bagnetów w kajdany okuta
Szła — jak bohater idzie na wzniesienie tronu,
Tak ona dumna — wielka — mężna — szła do zgonu.

Widziałem rur dwanaście czarnych — ona stała
Sama jedna — i głowę podnosiła dumnie,
Jak Samson na bóżniczéj oparty kolumnie.

Widziałem rękę drobną, białą — i ta biała
Ręka — stercząca groźnie — wielkie krzyża znamię
Nakreśliła w powietrzu — jakby zgonu ramię.

Ostatni pocałunek oddawała krwawy
Murom we śnie drzemiącéj — rodzinnéj Warszawy.
I huk wystrzału zatrząsł mury cytadeli.
I cichość nocy znowu nastąpiła głucha.
Widziałem — ach! sam jeden — jak pańscy anieli
Ponieśli w niebo — męczennicy ducha.

M. Kochanowski.

Barbox Bracia.

(CHARLES DICKENS.)

(Ciąg dalszy.)

— Czy znasz mnie młody Jackson?

— Kogóżbym znał lepiéj jak ciebie? Jesteś pierwszém mojém wspomnieniem, tyś mi powiedział, że się tak zowię, tyś mi powiedział, że 20ty grudnia każdego roku jest dniem pokuty w mojém życiu, i że się zowie dniem urodzin. Sądzę, że to ostatnie twierdzenie prawdziwsze, aniżeli poprzednie!

— A ja do kogo jestem podobna, młody Jackson?

— Podobnaś do mroźnego poranku, któren młode kwiecie warzy, ty kobieto zmienna, gnębiąca mnie, o ostrém obliczu i ustach ściśniętych; z maską woskową na twarzy byłaś szatanem dla mnie, a szczególniéj, kiedy mówiłaś o przedmiotach religijnych, bom się wtedy uczył znienawidzać je.

— A mnie, czy przypominasz sobie młody Jackson, zawołał inny głos z innego końca?

— Z wdzięcznością Panie. Pan byłeś promieniem nadziei i szlachetnéj ambicyi w mém życiu, kiedy słuchałem wykładów Pańskich myślałem, że zostanę wielkim lekarzem i czułem się prawie szczęśliwym, jakkolwiek był w tym domu ów człowiek zimny, surowy — owa okropna maska woskowa, która się ojcem moim nazywała; i jadłem i piłem w milczeniu i z przymusem, w obliczu téj maski każdego dnia przez cały ciąg szkolnych nauk, i od czasu, dokąd najdaléj pamięć moja sięga.

— A mnie czy znasz młody Jackson?

— Jesteś wyższą istotą dla mnie, jesteś jak przyroda, poczynająca objawiać mi się. Słyszę cię znowu z pośród licznego grona młodych ludzi, promieniejących wobec potęgi twojego wpływu i nauki, tobie zawdzięczam jedyne łzy uniesienia, które kiedy zrosiły me oczy.

— A mnie czy poznajesz? zawołał przykry głos z zupełnie odmiennego kąta.

— Aż nadto dobrze. Zjawiłeś się jednego dnia i oznajmiłeś, że cały bieg mego życia nagle i całkowicie ma być zmieniony. Pokazałeś mi to miejsce hańbiące i mozolne jak galery, miejsce w domu Braci Barbox, które miałem w przyszłości zajmować, mówiłeś mi co miałem robić i jaką pobierać płacę — mówiłeś mi późniéj po upływie kilku lat, że mogę podpisywać firmę; późniéj jeszcze, że zostałem spólnikiem

firmy; nareszcie, że zostałem firmą. Więcéj nic o tobie ani o sobie nie wiem.

— Do kogóż ja podobny, młody Jackson?

— Czasem mi się zdaje, żeś podobny do mego ojca, jesteś tak surowym i tak zimnym, że cię posądzać można o nieprzyznanie się do syna. Widzę twą chudą postać, opiętą ciemną szatą i ciasną, ciemną peruką, i ty nosisz woskową maskę aż do śmierci, nigdy jéj nie zdejmujesz, ani ona przypadkiem nigdy nie spada, a więcéj nic o tobie nie wiem.

Chociaż ta rozmowa zdawała się być djalogiem, podróżny nasz mówił tylko sam do siebie z rana przy oknie, tak jak zeszłéj nocy sam ze sobą rozmawiał był na dworcu kolei, a jeżeli tam o zmroku wyglądał jak człowiek, co zbyt wcześnie osiwiał, jak zaniedbane ognisko, to tu przy świetle dziennéｍ wyglądał jak płomień gasnący wśród popiołu, na który padają jasne promienie słoneczne.

Rozmawiał ze wspomnieniami swéj młodości, z osobami, które zostały z tamtych czasów w pamięci jego.

Firma braci Barbox, któréj został wspólnikiem, a potem jedynym reprezentantem, była pokątną, dwuznaczną. Zdawien dawna, zanim jeszcze młody Jackson do niéj wstąpił, zarzucano jéj, że się lichwą trudni, a reputacja ta przylgnęła na zawsze do firmy i do jéj spólnika. Cicho, bez żadnych korowodów został on był właścicielem owéj ciemnéj pieczary w kącie uliczki przybocznéj do Lombardstreet, gdzie szyld „Barbox Bracia“ nad oknami przez mnogie lata, codziennie stawał między nim a niebem. Równie nieznacznie stało się, że i on począł być człowiekiem, na którego spoglądano z brakiem zaufania, którego trzeba było ściśle nadzorować przy każdym interesie, jaki z nim zawarto, którego słowo bez podpisu nie miało wartości, którego wszyscy, co z nim mieli do czynienia, otwarcie się wystrzegali, zawarowawszy się przed nim jak tylko mogli. Nabył on takiéj reputacyi, nie przyczyniwszy się w niczém do tego. Zdawało się ludziom, że właściwy Barbox, przemienił się tylko w młodego Jacksona. I młody Jackson nosił na sobie znak potępienia — wmówiono w niego, że był złym. Nadto stało się jeszcze że jedna kobieta, jaką kiedy kochał, zdradziła go i jego wierny przyjaciel. Oboje uciekli skrycie i pobrali się. Wypadek ten zamroził go do reszty i oddał go całkiem tym złym skłonnościom, do których wychowanie zaród położyło było. — Goryczą przejęty, stał się całkiem wierny swéj firmie, i nie podniósł odtąd więcéj ni głowy, ni serca. Jednak po pewnym przeciągu czasu takie życie było mu ciężkie, nieznośne. Sprawił on sobie nareszcie wielką ulgę: złamał wiosła, któremi tak długo sterował, przedziurawił galerę i dał jéj zniknąć w toni — a to w ten sposób: że widząc, iż firma jego coraz bardziéj chyli się ku upadkowi, wolał ją sam rozwiązać. Nabywszy taką ilość majątku, że mógł żyć spokojnie, (jakkolwiek nie zbyt wiele,) wymazał firmę „Barbox Bracia“ ze spisu urzędu pocztowego i z powierzchni ziemi, nie zostawiwszy po niéj innego śladu, prócz wspomnionego napisu na dwóch tłumokach.

— Bo trzeba mieć nazwę, jeżdżąc po świecie, już to dla oka ciekawych ludzi. Mówił do siebie nasz podróżny, patrząc przez okno domu zajezdnego na główną ulicę Mugby. Po chwili wziął kapelusz i wyszedł, w téj saméj chwili spostrzegł z przeciwnéj strony drogi człowieka w aksamitném ubraniu, niosącego swój obiad w małym tobołku; zaiste nie możnaby go posądzać o łakomstwo, chociażby tobołek ten był daleko większym. Człowiek ten przesunął się szybkim krokiem i zniknął w bliskości dworca.

— Otóż Lamps, rzekł „Barbox Bracia“.

Śmieszném się to zapewne wyda, że człowiek tak poważny, tak stroniący od ludzi, który od trzech dni dopiero uwolnił się był od bytu pełnego mozołu, stanął w ulicy, pocierając brodę i rozmyślał na serjo o śpiewkach komicznych lampiarza.

Przy łóżku, rzekł Barbox Bracia do siebie zadumany, śpiewam je przy łóżku, tak mi mówił; ale dlaczego przy łóżku? chyba, że pijany do łóżka się kładzie, coby mnie wcale nie zdziwiło. Ale cóż mnie to obchodzi? Zobaczmy teraz Mugby Junction. Mugby Junction, gdzież się ztąd udam? Kiedy zeszłéj nocy przebudziłem się we wagonie ze snu przykrego, i znalazłem się w tém miejscu, przyszło mi na myśl, że ztąd mogę się udać, gdzie mi się spodoba. Gdzież pojadę? Pójdę na dworzec i przypatrzę mu się przy świetle dzienném. Wszak mi się nie spieszy, a może z dróg krzyżujących się tutaj jedna mi się lepiéj nada, aniżeli druga.

I poszedł i stanąwszy, przypatrywał się zdala.

Tam atoli tyle szyn się krzyżowało. Spoglądając na dół z mostu przy kolei zdawało mu się, że tu rozmaite stowarzyszenia utworzyły ogólną wystawę przemysłową olbrzymich pająków ziemnych, tkających żelazo. Niektóre szyny tak dziwnie biegały, krzyżując i zaginające się pomiędzy sobą i ginęły dla oka; niektóre z nich wyglądały jak gdyby biegły ze stałém postanowieniem odbycia pięciuset mil jazdy, a przy pierwszéj przeszkodzie nagle zatrzymały się i przemieniły się we wielki warsztat; inne znowu jak pijany, biegły prosto kawałeczek drogi, a potem zdziwione nawróciły się i pospieszyły napowrót; niektóre były założone ręcznemi wózkami, napełnionemi węglem, beczkami i rozmaitym ładunkiem; niektóre zdawały się przeznaczone li tylko dla przedmiotów mających koła, i wyglądały jak olbrzymie kołowrotki, gdy inne całkiem były próżne i czyste, a niektóre znowu pełne były popiołu i rdzy i taczek próżnych, leżących do góry nogami.

Barbox Bracia stał wielce zamyślony na moście, prawą ręką pocierając po zmarszczkach czoła, które

się pomnażały, gdy spoglądał na dół, jak gdyby liczne szyny drogi kolejnéj były się odfotografowały na téj szaréj tablicy. W oddaleniu słyszano otwieranie i gwizdanie, poczém ludzie podobni do lalek wysuwali się z małych komórek i znikali w nich napowrót, koła szybko się obracające wyglądały jak dziwaczne brzytwy drewniane, przyczepione u końców i zdawały się golić powietrze; potém kilka lokomotyw w rozmaitych kierunkach zaczęło syczeć, z jednéj strony pociąg nadszedł i wjechał do dworca, z drugiéj strony dwa pociągi się pokazały, lecz zastanowiły się poza dworcem, pojedyncze wagony ruszyły się z miejsca, poczém lokomotywa przyłączyła się do wagonów i uciekła wraz z niemi.

— Nie objaśniło mnie to wcale co do mojéj przyszłéj jazdy, nie spieszy mi się jednak wcale, wszak mnie nic nie nagli, czy dziś, czy jutro, czy pojutrze się zdecyduję. Przejdę się trochę.

Jakoś wypadło, (a może nie było to czystym przypadkiem), że poszedł w to miejsce, gdzie najprzód był wysiadł, a potém do mieszkania Lampsa. Lamps atoli nie był w swém mieszkaniu, aksamitne plecy czyjeś opierały się o podobne ślady na ścianie, przy piecu; lecz zresztą pokój był próżny.

Wracając dworcem, wytłómaczył sobie podróżny nieobecność Lampsa, spostrzegłszy go na przeciwległéj stronie szyn skaczącego po powierzchni pociągu od wagonu do wagonu i łapiącego zaświecone lampki, podawane mu przez pomocnika.

— Jest zajęty, o ile się zdaje, nie ma on dzisiaj z rana wiele czasu do układania komicznych śpiewek.

To mówiąc skręcił się i odszedł z miejsca, na którém stał.

Droga, którą się teraz udał, prowadziła przez pola, bardzo blisko szyn głównéj drogi żelaznéj, a widok z niéj był wygodny na linije przyboczne.

— Zdaje mi się, rzekł, że tutaj kwestją rozstrzygnę, powiem sobie, że pojadę tą, lub ową drogą, na tym, lub owym rzędzie szyn, one się tu rozchodzą, nie są tak pogmatwane, każda leci z osobna.

Wyszedłszy pod górkę zobaczył kilka domów wiejskich, rozpatrzywszy się do koła, spostrzegł z jakie sześcioro, lub ośmioro drobnych dziatek, które wesoło podskakując i wyśpiewując, wychodziły z jednego z tych domów i rozpierzchły się w różne strony — odchodząc, obracały się co chwila do wrót ogrodowych i zasełały rączkami pocałunki jakiéjś twarzy, leżącéj na oknie górném. Okno to dość było niskie, gdyż dom miał tylko jedno piętro, o jednym pokoju nad ziemią,

Nie uderzyło go to wcale, że się dzieci w ten sposób żegnały; lecz to uwagę jego zwróciło, że twarz, ku któréj się odwracały, leżała na otwartém oknie, zwrócona od nich w kierunku horyzontalnym, i zdawała się być li tylko twarzą samą bez ciała, położoną bokiem na oknie.

Twarz ta była arcydelikatną, bardzo piękną — leżała na jednym policzku na oknie, miała uśmiechające się rysy dziewczyny lub kobiety, a była otoczoną długiemi, jasnemi włosami, spiętemi niebieską siatką, czy też wstążką, lekko związaną pod brodą.

Podróżny przechadzał się tam i napowrót, spoglądał nieśmiało do okna, lecz nie spostrzegł żadnéj zmiany. Wyszedł inną drogą, aż do samego szczytu górki, by mieć lepszy pogląd na domy; lecz twarz ciągle w tym samym kierunku spoczywała na oknie — obecnie w połączeniu z parą delikatnych rąk, które poruszały się jak gdyby wygrywały na instrumencie muzycznym, który jednak nie wydawał żadnego odgłosu; żaden bowiem ton nie doszedł do uszów jego.

— Mugby Junction jest dziwném miejscem, zawołał Barbox Bracia schodząc z górki; popierwsze spotykam posługacza na kolei, co układa komiczne piosenki i śpiewa je przy łóżku, podrugie widzę twarz samą leżącą na oknie i ręce wygrywające na instrumencie, co tonu nie wydaje!

Dzień był piękny i jasny na początku listopada, powietrze przeźroczyste i ożywiające, a krajobraz ozdobny w najżywsze kolory. Kolory jakie miał dawniéj w Lombardstreet City londyńskiéj, były skąpe i ciemne. Czasem jeżeli gdzieindziéj pogoda była bardzo piękną i jasną, mieszkańcy téj strony miasta cieszyli się dniem szarym, koloru pieprzu ze solą; lecz atmosfera głównie tam panująca była koloru słotnego, lub tabaczkowego. Przechadzka zatém tak mu się podobała, że ją powtórzył następnego dnia. Trochę wcześniéj, aniżeli poprzedniego poranku był przed tym samym domem i słyszał dzieci śpiewające według taktu, który sobie dawały własnemi rękami.

— I teraz nie słyszę odgłosu instrumentu, rzekł, podsłuchując w kącie, a przecież widziałem ruchy owych rąk idąc tu — wszak oni zapewne nie śpiewają tabliczki mnożenia?

A jednak tak było, dzieci śpiewały tabliczkę mnożenia, odgłos twarzy tajemniczéj nauczał je i poprawiał, kiedy zachodziła potrzeba. Jakżeż dźwięk tego głosu brzmiał wesoło i śpiewnie. Takt nakoniec zastanowił się; poczém nastąpił szmer młodocianych głosów, a potém śpiew krótki o miesiącu bieżącym i o pracy, jaką nastręcza w polach i po dworach; późniéj słyszano szelest małych nóg i znowu dzieci wyszły, podskakując i śpiewając jak poprzedniego dnia, odwróciły się do wrót ogrodowych i zasełały pocałunki — rzeczywiście do twarzy leżącéj na oknie, tak się domyślał, choć ze stanowiska gdzie się był ukrył, nie mógł jéj widzieć.

Lecz gdy dzieci poczęły się rozpierzchać, zaczepił on i przytrzymał małego chłopca o ciemnéj twarzy i jasnych włosach i rzekł do niego:

— Pójdź tu mój malutki, i powiedz mi, czyj ten dom? —

Dziecko zasłoniwszy oczy opaloną rączką, częścią z braku śmiałości, częścią dla obrony, odpowiedziało z pod łokcia:

— To jest dom Feby.

— A kto jest Feba? zapytał Barbox Bracia, niemniéj jak dziecko tą rozmową zakłopotany.

Na co dziecko odpowiedziało:

— Febe, rozumie się jest Febe.

Dziecko ostro i uważnie śledziło swego badacza i zrazu sąd sobie o nim utworzyło, spojrzało niemile na niego, a raczéj nabrało odwagi zauważywszy, że to zdaniem jego był człowiek nie nawykły prowadzić grzecznie rozmowy.

— Febe nie może być czém inném jak Febe, może nie prawda?

— Sądzę, że prawda!

— Więc dlaczegóż mi się pytasz? — odrzekło dziecko.

Uważając, że się nie dowie tą drogą, Barbox Bracia począł z innéj strony badać malca.

— Cóż wy tam robicie w tym pokoju na górze, gdzie okno otwarte?

— Tam koła, rzekło dziecko.

— Co?

— Ko-ła — powtórzyło dziecko głośniéj, wymawiając to słowo z wielkim naciskiem, i patrząc ostro na niego, jak gdyby mówić chciało: „cóż z tego, żeś wyrósł tak wielki, kiedy jesteś takim osłem, że mnie nie rozumiesz.“

— A szkoła, szkoła — zawołał Barbox Bracia, a Febe was uczy?

Dziecko kiwnęło głową.

— Jesteś dobry chłopiec.

— Domyśliłeś się przecie — plawda? rzekło dziecko.

Tak domyśliłem się. Cobyś ty zrobił, gdybym ci dał kilka krajcarów.

— Wydałbym je.

Odpowiedź ta, dana bez namysłu, pozbawiła go wymówki do dalszéj rozmowy, opieszale więc pieniądze z kieszeni wyjął i oddalił się wielce upokorzony.

Widząc zaś twarz w oknie, gdy przechodził koło domu, zrobił poruszenie na znak, że ją zobaczył, nie było ono atoli ani ukłonem, ani pokiwaniem, ani zdjęciem kapelusza z głowy; lecz było niby zakłopotaniem i nieśmiałością.

Oczy w owéj twarzy zdawały się tém bawić, lub cieszyć, a usta rzekły mu skromnie:

— Dzień dobry panu!

Zdaje się, że tu muszę niejaki czas zabawić w Mugby Junction, mówił Barbox Bracia z wielką powagą, zatrzymawszy się znowu z powrotem, by spojrzeć po szynach, tam gdzie się drogi rozchodziły tak wyraźnie. Ja się jeszcze zdecydować nie mogę, którą z tych dróg żelaznych pojadę; muszę się cokolwiek przyzwyczaić do ich widoku, zanim jednę z nich ostatecznie sobie obiorę.

Oznajmił więc w domu zajezdnym, że się jeszcze jakiś czas zatrzyma, i odnowił znajomość swoją z dworcem kolei, tego samego jeszcze wieczora; powtórzył to samo nazajutrz z rana i następnego wieczora i następnego dnia, chodząc po dworcu, mięszając się pomiędzy ludzi, oglądając wszystkie kąty. A nareszcie począł się interesować nadejściem i odejściem pociągów. Z początku często zaglądał do Lampsa izdebki; lecz nigdy go tam nie znalazł. Najczęściéj zastał tylko jednego, lub dwóch z jego pomocników, o aksamitnych plecach, pochylonych nad ogniem przy kominku, czasem w towarzystwie kozika i kawałka chleba i mięsa; lecz odpowiedź na jego zapytanie: „Gdzie Lamps?“ brzmiała zawsze jednostajnie: „jest on z drugiéj strony dworca“, lub: „obecnie nie ma służby, jest to jego wolny czas“.

Nie pragnął tak gorąco Lampsa zobaczyć, dlatego nie martwiło to, że go nigdy zastać nie mógł. Nie zastawszy go, szedł na pagórek ku wiejskim domkom. Codziennie się tam przechadzał, a zawsze w tę samą stronę. Lecz pogoda się zmieniła, nastąpił czas zimny i wilgotny, a okno w wiejskim domku było zamknięte.

(Ciąg d. nast.)

Germaine Staël.

(ŻYCIORYS.)

(Dokończenie.)

Wszystkie życzenia autorki naszéj zwracały się obecnie ku Anglii. Restauracja po upadku cesarstwa zastała ją w usposobieniu, które po stanowczych przejściach okazywało osiągnięcie już prawdziwéj, wewnętrznéj dojrzałości. Ludwika XVIII. widziała w Anglii. „Będziemy miec króla, pisala wówczas, wielce sprzyjającego literaturze“. Jego umiarkowane opinije przypominały jéj poniekąd ojca. Nakłoniła się téż zupełnie do politycznych wyobrażeń angielskich w téj Anglii, która przed wszystkiemi innemi wydawała jéj się krajem zarazem dla życia rodzinnego, jak i dla wolności publicznéj. Powróciła więc do Francyi uspokojona, pełna zawsze szlachetnéj gorączki; ale wyznająca opinje na pół arystokratyczne, do których poprzednio nie byłaby się nigdy przyznała. Niechęć ku cesarstwu, oddalenie, obcowanie z towarzystwami zagranicznemi, nadzwyczajna fatyga wrażliwéj duszy, wszystko to przyczyniło się do téj metamorphozy. Starzejąc, zbliżała się do idei swojego ojca. Zdarza się to zwykle, że temperamenta z postępem wieku wracają do pierwotnego

typu, który okazywały w dzieciństwie, i pozbywają się stopniowo form i odmian, przybieranych w ciągu rozwijania się. Tak samo i wielkie rewolucje wracają zwykle po pierwszym zapale do celu mniejszego, niż był założony — to ludzka rzecz. W ten sposób i p. Staël ucieka się pod koniec życia do systemu więcéj mięszanego, więc umiarkowanego, prawie domowego.

„Uwagi o rewolucyi francuzkiéj“. Ostatnie jéj dzieło, które przyłożyło pieczęć na sąd o niéj, jako o umyśle potężnym i talencie pisarskim, daje ją już poznać uspokojoną, angielską, nieco doktrynerską. Nie tak różowo jednak, jak sobie wyobrażała, poszły rzeczy we Francyi; zatargi stronnictw, ubytek i zmiana znajomości, dużo śmieszności w społeczeństwie, które za restauracyi chciało się na dawny model wyłatać — wszystko to niepokoiło ją, zatruwało ciszę, któréj pragnęła, zniechęcało do życia. Szlegel nie może już odszukać w tych kołach o pomąconych wyobrażeniach i stosunkach pogodnego czasu i pięknéj literatury z Coppet. P. Staël, któréj nadto wzrastająca słabość dokuczała, szukała schronienia przy ognisku rodzinném, albo wyżéj w modlitwie i w wierności ku temu, który nie może stać się nam niewiernym. Umarła, otoczona wyborowymi ludźmi swojego czasu, w r. 1817. W przededniu śmierci, kazała się zanieść jeszcze w fotelu do ogrodu i obdzielała przyjaciół na pamiątkę różami i dobrém słowem.

Pośmiertne ogłoszenie uwag w r. 1818 zrobiło wiele wrażenia, każde stronnictwo szukało tam broni dla swego systemu — a ogólny wpływ dzieła był łagodzący. To dzieło też spowodowało ostatecznie, że wyprawiono jéj świetny, publiczny pogrzeb. Lecz nie polityka, ale jakeśmy widzieli, główną dziedziną jéj działalności była literatura i sztuka, królestwem jéj, towarzystwo; a największym przymiotem, który jéj jednał przychylność każdego, kto się do niéj zbliżył, uprzejmość żywość, dowcip w rozmowie: największym talentem jéj, towarzyskość — ta zapoznana już dzisiaj umiejętność, prowadzenia salonu.

Co to będzie?

Rózia dała mi różyczkę,
Taką wonną, chociaż dziczkę —
Taką piękną, chociaż pączek,
Bo pochodzi z Rózi rączek.

Odtąd niczem inne kwiatki!
Bo nad bratki, nad bławatki,
Nad lilije, centofolije,
Moją dziką różę wolę.

Przypiąłem ją u surduta:
„Siedź tu sobie jak przykuta!“
Ależ — patrzcie — samodzierca
Kroczy coraz bliżéj serca!

Słaba twierdza, szczupłe siły —
A do tego wróg tak miły....
Jeżli szturmem ją zdobędzie,
Co to będzie — co to będzie? —

Giewont.

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

V.

Prześliczny poranek pozłocony słońcem, zagląda przez małe tęczowe szybki do góralskiéj chaty i budzi mnie ze snu; niebo szafirowe jak ciche jezioro rozlało się nad górami, a takie przeczyste, że oprócz kilku obłoczków, co się pokładły jak białe owce na grzbiecie czerwonego wirchu — nie znajdziesz chmurki na niebie, choćbyś dukatami płacił za nią. Góralski wózek jednokonny czeka już na mnie przed chatą na gościeńcu — więc proszę Was, Łaskawe Czytelniczki, ze sobą — pojedziemy do Kościelisk.

Znacie już te miejsca, poeta Was tam zaprowadził przedemną i pokazał je w ramach pięknego poematu. Poemat ten nosi tytuł „Sobótka“, a ten co ją napisał — to autor „Zamku Kaniowskiego“, który po wypadkach trzydziestego pierwszego roku nie mogąc zgodzić się z myślą tulactwa, tutaj jakiś czas się ukrywał, przedłużając o ile się dało, pobyt na rodzinnéj ziemi. Dziewicza przyroda tatrzańska, życie i legendy Podhalan silnie oddziałały na wyobraźnię poety; pod ich wrażeniem napisał: „Sobótkę“, „Odę“, „Czarny Strzelec“ i „Dziennik podróży w Tatry“. Dziś mało komu znane są te utwory, wyczerpnęły się w handlu księgarskim — nie wiele wie o nich czytająca publiczność, zapomniał nawet sam poeta, zatopiony całkiem w mistycznych marzeniach Towianizmu. A jednak to szkoda nie znać, choćby takiéj „wycieczki w Tatry“, w któréj opowiadanie poety wyrównywa piękności i wspaniałości tych miejsc. Opowiadanie jego ma urok owych fantastycznych baśni o zaklętych pałacach; słowami pełnemi ognia i kolorytu zdjął czar z téj ślicznéj krainy i odsłonił ją przed oczami ludzi pełną piękności i cudów, uchylił drzwi do tajemnic duchowego życia górali, zapoznał nas z jego zwyczajami i legendami. „Sobótka“ osnuta jest właśnie na takich podaniach. Poeta użył bardzo w miarę tego legendo-

wego materjału. Na pierwszym planie umieścił ognie sobótek i lud bawiący się — dopiero tam gdzie blask ogni nie dochodzi, w cieniach lasów i nocy, gdzie oko widzieć przestaje a fantazja tworzyć zaczyna, tam dopiero ugrupował świat złudzeń, owe ciemne potęgi legendowe, szkicując je ciemno, niewyraźnie. Słyszymy tam szelest króla-węża, sunącego przez zarośla w diamentowéj koronie; po ciemnych jarach i brzegach rzek skaczą dziwożony, tajemnicze zioła rozwijają cudowną moc swoją. Nawet zbójcę Janosika, jako postać na pół legendową, pomieścił poeta w tém samém tle, w ciemnéj głębi złudzeń. Zdala, z za skały przypatruje się zbójca zabawie górali i tęskno mu za takiém życiem niezmąconém, spokojném. — Ale nie długo tego sielskiego spokoju: Mnich wróżący nieszczęście, podniósł się z wichrem północnym i w płaszczu zamieci i zawieruchy przechadza się po lesie szamocąc gałęziami. Dwie góralki młode, które za zielem oddaliły się były w głąb lasu — wracają strwożone do ognia i opowiadają, że widziały mnicha. Lud w popłochu, bo zjawienie się mnicha nieszczęście wróży. Zkąd ten przesąd? Wiadomo, że wszystkie prawie podtatrzańskie osady należały do opactwa Cystersów, mających główną siedzibę w Ludźmierzu. Dopiero w początkach XIII. wieku w skutek nadużyć, jakich się dopuszczali, przeniesiono ich do Czyżyca, a osady przeszły na rzecz skarbu królewskiego. Krótkie jednak rządy mnichów musiały się dobrze dać we znaki Podhalanom, kiedy tak smutnie i niekorzystnie zapisali postać mnicha w swojéj pamięci. A u nas w dolinach czyż spotkanie księdza nie wróży nieszczęścia? Sam nieraz miałem sposobność widzieć na wiejskich drogach, jak szlachcianeczki coprędzéj rzucały słomkę lub szpilki za mijającym je księdzem, by zażegnać nieszczęście. Kto wie czy przesąd ten nie ma początku i powodu swego w smutnéj epoce XIII. i XIV. wieku.

W „Sobótce“ Goszczyńskiego zjawienie się mnicha jest zapowiedzią strasznéj wieści o napadzie Tatarów. (Że Tatarzy w tamte strony zapuszczali swoje zagony, świadczy o tém podanie o ucieczce Ś. Kunegundy, daléj kilka familij góralskich, które się do dziś dnia zowią Tatarami, a w końcu może sama nazwa gór.)

Na wieść o zbliżeniu się Tatarów, lud się uzbroił, Janosik z towarzyszami przyłącza się także ku wspólnéj obronie. Obsadzono brzegi wąwozu, przygotowano ścięte drzewa i kamienie i czekano w milczeniu przybycia Tatarów, których pochód znać było po dymach pożarów wijących się po niebie, i po płaczu ludzi uciekających przed nimi. Niezadługo cała tłuszcza wpadła w wąwóz z dzikim krzykiem i wrzawą, i zapełniła przepaście, wtedy z góry posypał się z łoskotem na ich głowy grad drzew i łomów kamieni i pod tą straszną mogiłą ucichły ich wrzaski. — Przepadli bez wieści — tylko białe kości sterczące potém zpod łomów kamieni zostały jako jedyne świadki ich bytności i nadały nazwę wąwozowi, do którego właśnie chcę poprowadzić Czytelniczki.

Droga prowadzi przez cudną zieloną polanę — nad nią w koło niby w rzymskim cyrku zasiadły amfiteatralnie gęste tłumy świerków i patrzą na zieloną polanę jak na arenę, na któréj kilka stoi szałasów i trochę bydła się wałęsa brzęcząc blaszanemi dzwonkami. W górze rozpięty błękitny namiot nieba — w powietrzu zapach malin i fiołków, jaki wydaje czerwony porost (byssus) kamieni nadrzecznych — środkiem szmaragdowéj łąki szemrzą przeczyste Dunajcowe wody przedzierając się przez omszone głazy, na których wodne przysiadają chruścicle; obok drogi mała kapliczka, ubrana w nieśmiertelniki i białe goździki. Tak wygląda przedpokój Kościeliskiego wąwozu. Zakończają go rozwalone w gruzy mury staréj kuźnicy i opustoszała karczma bez drzwi, bez okien i dachu. Za karczmą jest źródło, które w dwa strumienie rozchodzi się i obficie zasila Dunajcowe wody. Woda źródlana zimna (+3°) a tak przejrzysta do dna, że powierzchnia jéj robi złudzenie kryształowéj szyby, przez którą widno na spodzie mchy i porosty, różowe kamyki i złoty piasek. — Źródło jest otoczone baryerką — opodal pod cieniem szeleszczących brzózek stoi kilka ławek odarniowanych, zapraszając mile do odpoczynku.

Ławeczki były właśnie zajęte, kilka dam wystrojonych w krochmalne perkaliki, siedziało w romantyczném cieniu kołyszących się brzóz i robiły pończochy. Zaś trzech panów schylonych nad źródłem zanurzało coś w wodę. Pewny byłem, że robią jakie barometryczne doświadczenia. Jakżem się zdziwił, gdy zbliżywszy się, zamiast barometru, zobaczyłem baczułkę piwa, którą ci panowie spuszczali dla oziębienia do źródła jak do lodowni. Po takiém przedstawieniu się tego towarzystwa, nie potrzeba zapewne bliższych objaśnień względem ich narodowości — każdy łatwo się domyśli. Byli to urzędnicy z kuźnic zakopańskich — przyjechali tu święcić uroczystość imienin jednego ze swych kolegów i rozkoszować się na łonie natury bez surduta i z kuflem w ręku.

Ci ludzie mają talent najcudniejsze miejsca zamienić w knajpę.

Odwróciłem się coprędzéj od tego widoku i już mieliśmy (było nas kilku), przeszedłszy kładkę rzuconą przez Dunajec, wejść do wąwozu, gdy turkot wózka zatrzymał nas. Obejrzałem się i zobaczyłem przez drzewa migające ubiory kobiece: dwie panie i jakiś jegomość młody siedzieli na wózku. Zaraz przyszło mi na myśl, czy to przypadkiem nie będzie owo towarzystwo, które widziałem, a raczéj słyszałem w Zaborni. Wózek stuknął mocno o kamień, głośne „ach“ wyrwało się ze strwożonéj piersi jednéj z pań — nie omyliłem się, był to znany mi dobrze głosik szanownéj cioci dobro-

jeno zapłata za pracę, którą jéj będziesz pozornie nastręczał. — Oto pieniądze, których użyjesz na ten cel — mówił wręczając mu pakiecik. Nadewszystko potrzeba, aby się nie domyśliła nigdy, że te pieniądze odemnie pochodzą. Pan patrzysz na mnie jak na waryjata, nie możesz zrozumieć téj tajemniczéj zagadki? Powiem ci ją, byś się serdeczniéj zajął tym interesem. — Ja....

Tu zawachał się nieznajomy, jakby mu brakło oddechu — po chwili westchnął i dokończył:

— Ja tę kobietę kochałem dawniéj.

— I porzuciłeś? — rozumiem.

— Nie, poszła za innego.

— Zdradziła cię.

— Nie kochała mnie — to nie jéj wina. Mąż jéj teraz rozpił się, stracił wszystko — rozumiesz teraz?

— I ty ją wspierasz, zajmujesz się nią? —

— Wszak ci mówiłem, że ją kochałem. Ale dość o tém, pamiętaj o mojéj prośbie, zastąp jéj ojca — z tą myślą będzie mi lżéj umierać. A teraz bądź zdrów — może się już nie zejdziemy nigdy.

To rzekłszy uścisnął starca za rękę i odwrócił się szybko ku oknu, by ukryć łzy i wzruszenie. Staruszek uszanował to i wyszedł; wyszedł nawet z pośpiechem, by się coprędzéj wydostać z téj atmosfery nieznajomego, w któréj jego nienawiści ku ludziom tak trudno było oddychać. Idąc ulicą Chmielną ku Nowemu Światu, myślał ciągle o nieznajomym, o cichém poświęceniu dla kobiety, która go zdradziła i dziwił się i nie mógł pojąć tego. Wśród tych rozmyślań ani spostrzegł, jak prędko znalazł się przed kościołem ś. Krzyża. Lampa oświecająca posąg Chrystusa ciągnącego krzyż świeciła się jeszcze, choć świt biały już nastał; katakumby pod kościołem już były otwarte — w ciemnych podziemiach paliły się światła koło katafalku. Staruszek z ciekawości zatrzymał się, spojrzał na kartkę pogrzebową przylepioną na murze i zadrżał — przeczytał na niéj nazwisko żony komisarza. Odszedł szybko od tego miejsca; o kilka kroków jednak daléj zatrzymał się, jakby się naradzał i rozważał, wreszcie wrócił się i wszedł do katakumby.

Koło katafalku nie było nikogo — cisza była taka, że słychać było świerczenie palących się gromnic — przy ich migotliwym blasku blada twarz trupa zdawała się ruszać i wyciągać. Starzec stał długi czas nieruchomy, z oczami wlepionemi w trumnę — Bóg wie, jakie tam myśli przeciągały po głowie, na widok tego trupa, z którym tyle wspomnień się wiązało. W końcu ukląkł i począł się modlić. Potém, jakby się wstydził tego chwilowego rozczulenia, wstał prędko i wyszedł.

Koło kolumny Zygmunta skręcił ku Zjazdowi, minął zamek i szedł przez most na Pragę, by odetchnąć nieco wolniejszém powietrzem, bo czuł, że go coś przygniatało.

Zchodząc z mostu spostrzegł, że w stronę, gdzie on szedł, spieszyło mnóstwo ludzi i powozów. Powlókł się za nimi machinalnie i doszedł do stacyi kolei żelaznéj, gdzie zobaczył tłum ludzi. Dowiedział się, że przyczyną zebrania był transport skazanych na Sybir. Skazani stali ścieśnieni w kupie, odgrodzeni od krewnych i znajomych szeregiem żołnierzy. Staruszek obchodził w koło więcéj z ciekawości, jak litości i przyglądał się wynędzniałym twarzom więźniów. Naraz stanął, zgarbiona postać jego wyprostowała się i zesztywniała, zżółkła twarz stanęła w płomieniach, oczy zaiskrzyły się mocno i wpatrzyły w jeden punkt. Tam między skazanymi stał jego syn — wyrodek. Poznał ojca i ze spuszczoną głową, pokorny, błagający patrzał ku niemu. Stary odwrócił się z gniewem i pogardą — drżącemi rękami rozpychał tłum, który mu zawadzał i z gorączkową niecierpliwością starał się wydostać z tego miejsca, uciec od niego jak najdaléj. Zdyszany, zmęczony dobiegł do mostu, tu przystanął nieco, oparł się o poręcz i otarł spotniałe czoło. Już wypoczął dostatecznie, a jednak nie odchodził jeszcze, wachał się i walczył sam ze sobą — uczucie miłości rodzicielskiéj i litości walczyło w nim z jego zakamieniałą nienawiścią i zaciętością. Wstawał pokilkakroć i chciał odejść; ale jakaś siła ciągnęła go napowrót — wrócił się więc, umyślnie zwalniał kroku, czasami przystawał, ociągał się, ale wreszcie doszedł. Nie pchał się już naprzód, stanął opodal na boku i przez głowy drugich patrzał. Był roztargniony, ciągle się kręcił niespokojnie, nadeptywał drugim na nogi, potrącał — nie wiedząc wcale o tém.

Zadzwoniono po raz drugi. Więźniowie i ich krewni posyłali sobie wzajemnie ostatnie pożegnanie. Jego syna nikt nie odprowadzał, nikt nie żegnał. Widział go stojącego osamotnionego i ponuro patrzącego w ziemię.

Żołnierze podnieśli karabiny na ramiona i dano znak, by szli ku wagonom — ruszyli się. Staruszek rozepchnął tłum, co go dzielił od więźniów — zbliżył się do nich z gorączkowym pośpiechem i wyciągnąwszy drżącą rękę przez ramię żołnierza zawołał:

— Bądź zdrów Auguście.

Syn uchwycił rękę ojca z namiętną radością, słowa utkwiły mu w gardle, przemówić nie mógł, tylko łzami podziękował za przebaczenie.

Wnet żołdacy rozerwali ich ręce i pognali więźniów do wagonów.

Staruszek długo jeszcze stał na tém miejscu, nieruchomy, zapatrzony. Świst lokomotywy poruszył go, spojrzał raz jeszcze na odjeżdżający pociąg — wśród lasu rąk rzucających z wagonów pozdrowienie, szukał ręki syna. Wreszcie pociąg zniknął, a staruszek powolnym, osłabionym krokiem powlókł się ku domowi.

XI.

Osłabienie z każdém krokiem się powiększało, czuł wielką duszność w piersiach, zamęt w głowie, w oczach

mu się ćmiło. Kiedy się dowlókł do ulicy Mostowé był już tak osłabiony, że musiał się trzymać muru, aby nie upaść; na oczach ciążyła jakby mgła — już ledwie mógł namacać furtkę i poręcz od schodów — wreszcie stracił przytomność i upadł. — Zrobił się hałas w domu, mieszkańcy powychodzili, wniesiono go na górę, ale nikt dłużéj nie zabawił u mruka, bo nie lubiono i wstręt miano do tego zimnego, zamkniętego starca. — Jedna tylko stolarka opiekowała się chorym, który kilka dni leżał bez przytomności w mocnéj gorączce; ledwie na krótki czas odchodziła do swoich zatrudnień.

Jednego dnia, gdy właśnie zajęta była u siebie przyrządzaniem posiłku dla starca, ten wskutek przesilenia choroby przyszedł właśnie do przytomności. Zdawało mu się, że się z jakiegoś ciężkiego, niemiłego snu obudził. Najprzód rozpatrywał się, gdzie jest, poznał swoją izdebkę, tylko zauważył, że wygląda schludniéj niż przedtem. Zwrócił oczy na stolik, zobaczył lekarstwa, rozkrajaną cytrynę, resztki jedzenia i ślady starannéj ręki. Usiłował zebrać zmysły i przypomnieć sobie, co się z nim stało, ale nie mógł. Wtem weszła stolarka, niosąc dymiącą się polewkę dla niego. Staruszek wpatrzył się w nią dziwnie, głupkowato.

— Więc to ty? ty tak dbasz o mnie?

— Któżby dbał, pan tu nie masz nikogo.

— Ależ ty kobieto powinnaś mnie niecierpieć, ja nie miałem nad tobą litości.

Stolarka była w kłopocie, co na to powiedzieć; ona czuła, że to co robiła było dobrém, tak jéj kazało serce i religja, ale powiedzieć tego nie umiała. Zamiast odpowiedzi podała mu lekarstwo.

— Kto to przepisał?

— Doktór.

— Czy ja dawno tak leżę?

— Od dwóch tygodni.

Staruszek zrobił wielkie oczy.

— Od dwóch tygodni? I ty wciąż opiekowałaś się mną?

Ta dobroć i troskliwość kobiety, która miała wszelkie prawo nienawidzić go i nieznać, zadziwiła go i zastanowiła. Długo skurczony, jak skaleczony robak leżał na łóżku — wzrok sztywny utkwił przed siebie w podłogę i silił się zrozumieć, co tę kobietę skłoniło, że się nim zajmowała — duch jego pracował nad odgadnieniem tajemnicy przebaczenia. Wśród tego namysłu wyraz jego twarzy łagodniał, oczy rozjaśniały się błogą pogodą, i nigdy niewidziany uśmiech szczęścia rozsiadł się na jego ustach.

— Zacna z ciebie kobieta — rzekł i wziąwszy jéj rękę poniósł ją do ust, by pocałować. Zażenowana kobiecina chciała cofnąć rękę, ale nie śmiała.

On ucałował z czcią tę pracowitą rękę, potém położywszy ją na swéj pomarszczonéj twarzy rzekł do stolarki:

— Patrz — czujesz? To łzy. Ja już dwadzieścia kilka lat nie płakałem; wszystko zostawało tu w piersiach — i piekło mnie i paliło mnie. O! dziś mi dobrze. —

I rzeczywiście od tego dnia było mu lepiéj i fizycznie, choroba się przesiliła i zdrowie widocznie z każdym dniem się polepszało. Po kilku dniach mógł już wstać i o lasce przechadzać się po izbie. Tego dnia powlókł się zaraz naprzeciwko do stolarki — przesiedział tam wieczór cały kołysząc małą sierotkę i rozmawiając z jéj matką. Jakoś mu tam dziwnie dobrze było; od ciepła chrześciańskiéj miłości, jakie wiało z życia i słów téj prostéj kobieciny, zamrożone serce staruszka odtajało, ożyło — jakby druga wiosna rozkwitała w jego duszy. Kiedy odchodził od niéj, pocałował ją w czoło i rzekł:

— Pozwól, że ja tu częściéj do was zajrzę pogawędzić, rozweselić się. Będę wam ojcem i przyjacielem, bo ja nie mam nikogo — rozumiesz, nikogo na świecie.

Kiedy wrócił do siebie, był rozpromieniony, szczęśliwy.

— Są dobrzy ludzie — szepnął — dzięki Ci Boże za ten jasny promyk, co padł na moje siwe włosy.

Złożył ręce i chciał uklęknąć do modlitwy. Wtem usłyszał hałas i ruch pospieszny na schodach. Drzwi się otwarły i wpadł do izby nieznajomy, a z nim drugi jakiś człowiek.

— Jesteśmy ścigani, ukryj nas — rzekł zadyszany nieznajomy. Szybko podniósł znajomą sobie deskę z pomocą starca i wsunął się w ciemny otwór. Za nim chciał postąpić jego towarzysz.

Staruszek spojrzał na tego człowieka, drgnął cały, krew uderzyła mu do twarzy i krzyknął:

— Julian. —

— Zginąłem — rzekł Juljan z rozpaczą poznawszy w starcu swego wroga.

— Zginiesz — rzekł starzec z naciskiem; puścił deskę i z mściwą radością patrzał na śmiertelną trwogę swego nieprzyjaciela, który zbladł jak ściana, słysząc na dole kroki zbliżających się żołnierzy. Staruszek pastwił się tym widokiem.

Wtém z przeciwka dał się słyszeć śpiew rzewny; to stolarka śpiewała jakąś pobożną pieśń. Staruszek zachwiał się, wyraz jego twarzy zmienił się, zmiękł jak wosk pod wrażeniem téj pieśni — wziął za rękę uwodziciela swéj żony, podniósł deskę i rzekł łagodnie:

— Wejdź!

Potem nakrył go znowu, jakby wiekiem od trumny, usiadł i czekał przybycia żołnierzy.

Wpadli za chwilę pijani z hałasem do cichéj starca izdebki, przetrząsnęli wszystko, przewrócili do góry nogami — i nic nie znaleźli. Wśród czterech prawie pustych ścian izdebki trudno było przypuścić, że się ktoś

mógł ukryć. Poszli więc szukać daléj; ale żal im było odchodzić z niczem: poturbowali więc trochę staruszka, a jeden z pijanych żołnierzy odchodząc, uderzył go kolbą w piersi na pożegnanie. Uderzenie to dla starca, co świeżo z ciężkiéj podniósł się niemocy, było śmiertelne. Krew rzuciła mu się wnet ustami, zachwiał się i upadł.

Kiedy stolarka przestraszona hałasem i niespokojna o staruszka wpadła do jego mieszkania, zastała go już bladego i mocno zmienionego: cień śmierci rozsiadł się już w załomach jego twarzy, zimny kroplisty pot wystąpił na czoło. Chciała biedz po doktora — zatrzymał ją i rzekł ciężko oddychając:

— Już późno. Za chwilę skończy się wszystko. Umrę spokojny, tyś mnie pogodziła ze światem; ty i jeszcze jeden człowiek nauczyliście mnie cierpieć szlachetnie i przebaczać. Tam — pod tą deską ukrywa się człowiek, który zabił moje szczęście, zepsuł całe moje życie — tego człowieka ocal! —

Głos coraz bardziéj cichnął — oczy zaszły już mgłą, ciało ziębło. Staruszek podniósł jeszcze głowę do góry i z wysileniem wyszeptał:

— *„Odpuść nam, jako i my odpuszczamy!“*

Z PRZYRODY.

O znaczeniu mchów w przyrodzie.

(Ciąg dalszy.)

W okolicach nizkich, równych, po miejscach od czasu do czasu wodą zalewanych, rozwija się w krótkim przeciągu czasu bardzo charakterystyczny rodzaj roślinności. Najprzód ukazują się trawy, z oddziału Ciborowatych, znane powszechnie pod nazwą kwaśnych i to przedewszystkiém w dwóch rodzajach: Turzyca i Wełnianka; pierwsza z nich liczy bardzo wiele gatunków, a odznacza się w ogóle szerokiemi, ostremi liśćmi; drugą poznać można z łatwością po kłosach kwiatowych, które dojrzewając, pokrywają się długim, jedwabistym, miękkim, białym włosem. Trawy te nie łączą się i nie tworzą trawnika, jak to ma miejsce np. po łąkach; lecz rosną poduszkowato, tj. tworzą mniejsze, lub większe kępki, na wpół zanurzone w wodzie, a na wpół w niéj pływające. Miejsca wolne pomiędzy poduszeczkami zajmuje woda. W niéj ukazuje się równocześnie mech, znany pod nazwą Torfowca. Odznacza on się łodyżką, 6-10 cali długą, gałązkami biczykowatemi, odgiętemi, a u góry skupionemi w główkę i właściwą barwę; ta w wodzie jest żywo-zielona, po wyschnięciu modrawo-biała. Mech ten rośnie gromadnie, zazwyczaj w wielkiéj ilości — rozmnaża się bardzo szybko i zapełnia wkrótce miejsca wolne między poduszeczkami Turzycy i Wełnianki. Tak mech, jak i te trawy mają jednę szczególną własność, że odrastając od góry, obumierają od dołu. Domyślą się może czytelniczki, co ztąd wynika. Oto, że obumarłe części rośliny ulegają w wodzie powolnemu, niezupełnemu rozkładowi i zamieniają się w torf. Czynność ta powtarza się rok rocznie, wskutek czego pokład torfu coraz więcéj się wzmaga, a torfowisko rozwija się tak długo, jak długo starczy mu odpowiednich warunków, a przedewszystkiem wilgoci. Rozwój jego sięga tak daleko, że zagłębienie, będące pierwotną jego siedzibą, może przez wzmagające się ciągle pokłady torfu całkiem z otaczającym go poziomem być zrównaném, co właściwie powstrzymuje dalszy jego rozwój, ponieważ tak trawy jak i mech posiadają własność zgęszczania i przechowywania wody, która jest niezbędnie do życia ich potrzebnym warunkiem. Pokład torfu grubiejąc, wznosi się coraz więcéj nad otaczający go poziom, które wzniesienie najsilniejsze jest tam, gdzie największa żywotność, a zatém w środku torfowiska; tam może wynosić 20-30 stóp. Tylko zupełne osuszenie miejscowości jest wstanie przeciąć żywotność, a zatem i rozwój onegoż.

Chociaż czynność ta sama w sobie tak jest niepozorną, i przez nader niepozorne rośliny, bo mchy i trawy wykonywaną — trudno przecież uwierzyć, jak wielkie mogą być jéj wypadki. Na północnéj półkuli, w okolicach nizkich, nadmorskich, napotykamy nieprzerwany łańcuch torfowisk, z których większe dochodzą do kilkudziesięciu mil □ powierzchni, a kilkanaście sążni grubości. Olbrzymie torfowiska napotykamy także na północnych stokach Alp, w Wirtembergu, Bawaryi i Salzburgu — a u nas w kraju wzdłuż wybrzeżów Wisły i na północnéj stronie Tatr, w dolinie Orawskiéj i Nowotargskiéj. Powstawanie i rozwój torfowisk ma jeszcze inne pod względem naukowym nader doniosłe znaczenie, a to o ile tłómaczy nam pochodzenie węgla kamiennego. Najnowsze badania geologiczne wykazały, iż minerał ten, którego pokłady na tak olbrzymie rozmiary występują w Europie i północnéj Ameryce, nie jest niczém innén, jak torfowiskami, które w czasie gwałtownych rewolucyj, jakim w przedhistorycznych czasach powierzchnia kuli ziemskiéj ulegała wodą zalane, i osadzającemi się na nich skałami zgniecione zostały. Trudno dziś orzec, czy i w tamtych torfowiskach mchy tak ważną grały rolę, bo wewnętrzna budowa węgla kamiennego przez działanie sił mechanicznych do niepoznania zmienioną została, a odciski roślin napotykane w pokładach węgla należą do paproci drzewnych, którym podobne dzisiaj tylko w krajach tropikowych napotykamy: następnie do olbrzymich skrzypów i widłaków, które atoli we wzmiankowanych przewrotach kuli ziemskiéj zupełnie zaginęły, i dzisiaj tylko w nielicznych, skarłowaciałych, pokrewnych gatunkach znajdują swoich przedstawicieli.

W zwyczajnym stanie torf przedstawia nam mniéj lub więcéj zbitą masę, o barwie ciemno-brunatnéj, lub czarnéj. Już gołém okiem można rozróżnić jego części składowe, tj.: włókna pochodzące z liści, łodyg i korzeni, wzmiankowanych powyżéj mchów i traw. W stanie suchym torf pali się bardzo dobrze, a lepsze jego gatunki wydają nawet jasny i piękny płomień. Nie rzadko się zdarza, że zapuszczona w torfowisko iskra wznieca pożar jego, który przy sprzyjających okolicznościach rozszerza się na olbrzymie przestrzenie i może trwać tak lat kilka i dłużéj, dopóki nie zamieni całego torfowiska w popioły. *). U nas w kraju bogatym w lasy i kopalnie węgla kamiennego własność ta torfu jest bez znaczenia; gdzie płodów tych nie dostaje, bywa używanym na opał. Niezmierzone obszary ziemi, jakie zaległy bliżéj bieguna północnego, a zatem Kamczatka, północna część Syberyi i Rosyi europejskiéj, cała Laponia, wielka część północnéj Ameryki, byłyby w wielkiéj części bez torfowisk niezamieszkałemi; dla nich są one prawdziwém dobrodziejstwem. Po co szukać lodów biegunowych; w Prusach nadmorskich, Wirtembergu i Bawaryi, torf jest prawie wyłącznym materjałem opałowym, a autor téj rozprawki ogrzewa się codziennie z wielką gorliwością, przy piecyku opalanym torfem. W ostatnich czasach stał on się przedmiotem innéj ważnéj gałęzi przemysłu; wysuszony, starannie podrobiony, a następnie przedestylowany wydaje płyn, z którego przez stosowne postępowanie można wydobyć kreozot i wiele innych olejnych i żywotnych utworów, mających obszerne zastosowanie w różnych rodzajach przemysłu. Można także użyć torfu do wyrabiania gazu świetlnego; u nas w okolicach górzystych bywa używanym na nawóz.

Takie znaczenie mają mchy w okolicach nizkich, opatrzonych znacznym zasobem wilgoci. Drobne te i niepozorne roślinki występują w niezliczonych okazach, a pokrywając nieraz okiem nieprzejrzane obszary, nadają odrębny wybitny charakter całéj okolicy. Zmienia się postać rzeczy w okolicach górzystych, lub pochyłych. Liczba mchów tutaj żyjących daleko jest większą, jak w poprzedzającym wypadku; a chociaż nie występują nigdy tak samodzielnie i nie tworzą osobnéj formacyi roślinnéj, to przecież obfitość ich na ogół roślinności nader wielki, przeważny wpływ wywierać może, jak o tém wkrótce się przekonamy.— W okolicach górzystych, roślinność występuje przedewszystkiém w postaci lasów i łąk. Ze zmianą stosunków miejscowych, pierwsze przechodzą w zarośla krzewiste, drugie zamieniają się w pastwiska. Lasy i zarośla krzewiaste, są tutaj uprzywilejowaną siedzibą mchów, dostarczają im koniecznie do życia potrzebnych warunków, tj.: wilgoci i cienia i nie mniéj wielkie od nich odbierają usługi.

Przypatrzmy się zbliska budowie naszych lasów. W okolicach nizkich na glebie piaszczystéj występują u nas przeważnie drzewa szpilkowe, a przedewszystkiem sosna. Jeżeli gleba lasu jest suchą, wówczas oprócz nędznych borowin i nędzniejszego jeszcze wrzosu żadnych nie żywi roślin. Po miejscach wilgotnych ukazują się na niéj niezliczone okazy białych torfowców, a pomiędzy niemi drobniuchne krzewinki, trawy, paprocie i inne rośliny w bardzo znacznéj liczbie. Tak się dzieje w okolicach piaszczystych.

Lasy na glebie gliniastéj, albo czarnoziemi daleko więcéj przedstawiają rozmaitości. Drzewa w skład ich wchodzące, należą do rozlicznych gatunków drzew liściastych jak brzoza, dąb, lipa, klon, jawor, jesion — a pomiędzy niemi zrzadka rosną sosny, lub świerki. Jeżeli gleba tych lasów jest mokrą, wówczas pokrywają ją nieprzebyte zarośla roślin trawowatych, tworząc moczary i trzęsawiska. Na glebie suchéj zajmują miejsce traw gęste zarosty krzewów.— Zupełnie odmienną postać przybierają lasy nasze w okolicach górzystych. Roślinność jakiego miejsca zależy przedewszystkiem od zasobu ciepła i wilgoci. Gdzie stosunki te na małych przestrzeniach nagłém i stałém ulegają zmianom, tam wślad za niemi idzie i nagła zmiana roślinności. Wypadek ten ma przedewszystkiém miejsce w okolicach górzystych. Gdziekolwiek lasy tutejsze zachowały jeszcze pozory pierwotnéj siły i czystości, przedstawiają rozmaitość dziwną i trudną nieraz do wytłómaczenia, pod względem rozdzielenia drzew i roślin w skład ich wchodzących. U stóp gór i we wnętrzu dolin składają one się prawie wyłącznie z buków, pomiędzy któremi zrzadka tylko można napotkać jodły i świerki. Buki odznaczają się w miejscach tych nader silnym i pięknym wzrostem, atoli tylko do pewnéj wysokości. Im bardziéj posuwamy się w górę, tém więcéj nikną wspaniałe i olbrzymie ich okazy, a natomiast występuje w wielkiéj ilości buczyna krzewiasta. Równocześnie zwiększa się liczba drzew szpilkowych, tj.: świerków, tak dalece, że na pewnéj wysokości buki nikną zupełnie, a miejsce lasu liściastego zajmuje czarny las szpilkowy. Linia, na któréj w okolicach górzystych nikną buki, nazywa się górną ich granicą. Im bardziéj posuwamy się ku Północy, tém mniejszém jest wzniesienie téjże linii; u nas przypada ona na wysokości 3600′ nad poziomem morza. Co powiedzieliśmy o bukach lasów Podkarpackich, to powtórzyć można w zupełności o świerkach tutejszych. Z rosnącą wysokością tracą silny i piękny wzrost, wyniosłe ich pnie stają cię coraz rzadszemi; nakoniec nikną zupełnie, a miejsce ich zajmują nieliczne tylko okazy skarłowaciałe, zaledwie parę stóp wysokie. Zjawisko to ma miejsce dopiero na wysokości 4200′ tj.: na górnéj granicy świerków.

*) O pożarach takich torfowisk w naszym kraju, wspomina znakomity Staszyc, w dziele swojém „O ziemiorodztwie Karpat etc."

Nigdzie mchy nie występują tak obficie, jak w lasach okolic górzystych strefy umiarkowanéj i zimnéj. Napróżnobyśmy tutaj szukali nieprzebytych zarostów trawiastych, albo krzewiastych, tworzących podszew lasów w równinach; tutaj gleba pokryta jest jednostajnym, gęstym trawnikiem mchów, pomiędzy któremi zrzadka tylko i pojedynczo ukazują się rośliny wyższéj ustrojności. Rozmaitość barw i postaci jest tutaj niewyczerpaną. Większe i pospolitsze gatunki rosną na ziemi i skałach i pokrywają je zupełnie zbitym kobiercem, odznaczającym się wielkiém bogactwem barw i postaci,

Mniejsze i rzadsze gatunki chronią się po ziemistych usypach, pomiędzy korzeniami drzew i po butwiejących pniach i gałęziach drzew. Kilkanaście gatunków rośnie wyłącznie na korze drzew żywych; spinają się one wysoko na pnie i gałęzie, a obdarzone bujniejszym od innych wzrostem i znakomitą rozmaitością barw, na charakter miejscowości przeważny wpływ wywierają. Ktokolwiek miał sposobność spędzić chwil kilka w uroczych lasach okolic górzystych, nasunęło mu się mimowoli pytanie, na co przyroda stworzyła tyle gatunków mchów, po co w tak wielkiéj, nieprzebranéj rozsypała je mnogości. Myślący badacze rozwinęli tę zagadkę; wypadek ich badań był świetny, bo dowiódł, że drobne te i niepozorne roślinki nie dla saméj tylko ozdoby istnieją, ale mają inne w ogólnéj gospodarce przyrody nader doniosłe znaczenie. (Ciąg dal. n.)

Wystawa powszechna.

V.

(Ciąg dalszy.)

Chcąc zastanawiać się szczegółowo nad utworami w galeryi sztuk pięknych i w a n n e k s a c h potrzebaby tomy spisać, a my jeszcze daleką drogę mamy do przebieżenia. Poprzestaniemy więc na kilku arcydziełach i kilku rysach charakterystycznych.

Ogólną cechą sztuki dzisiaj zdaje się być pewna trzeźwość, pewna sumienność, która zostawia na boku zarówno klasyczne jak i romantyczne zapatrywania, a natomiast skrupulatnie studjuje naturę. Jest to niezaprzeczenie najzdrowsza metoda; prawda na tém zyskuje; natura i człowiek to niewyczerpane źródła dla kreacyi, a poezja, fantazja, prawdy obawiać się nie potrzebują; ona owszem jest ich duszą, b o p r a w d a t o i d e a ł!

W oddziale francuzkim uderza nas najpierw n a p o l e o n i z m, który owładnął fantazją artystów, i wszystko co francuzkie, w sobie chce uosobnić. W istocie postać wielkiego cesarza stała się ukochaną, narodową legendą, a promienie téj czci spadają i na obecnego cesarza. Ztąd to największe płótna francuzkie przedstawiają prawie wyłącznie sceny z dziejów i batalij napoleońskich, aż do ostatniéj wojny krymskiéj i podróży cesarskiéj po Egipcie. Najpiękniejszy jest tu niezaprzeczenie Meissoniera o d w r ó t z M o s k w y w r. 1 8 1 4. Rzeźbiarze obierają ten sam temat, *Guillaume* przedstawił Napoleona I. w szeregu biustów, począwszy od czasów szkolnych, aż do wyspy wygnania; inni odlewają niezliczone razy aż syna dzisiejszego cesarza, z jego ulubionym psem — a w istocie i chłopiec i pies bardzo ładni.

Z obrazów nagrodzonych prześliczna jest Cabanela: R o d z ą c a s i ę *Venus* — wyłania się powiewny, niby kobiecy kształt, a tworzy go biała piana i światło; ta przejrzysta postać zaledwo ma ciało, cud to, czy złudzenie? a już amorki koło niéj latają. Panna *Roza Bonheur* dostarczyła kilkanaście obrazów, a wszystko jak zwykle pejsarze, trzody, pasterze i wszystko to żyje, rusza się i daje jéj świadectwo, że pokochała naturę i sielski obyczaj i w przedstawieniu ich dosięgła doskonałości. Ta specjalność i pewna maniera może się wydawać monotonną; ale jest to tak jak z piosenkami Lenartowicza; lirenka ciągle gra, ale ludzie nie zawsze ochotni do słuchania jéj. W parku odznaczają się z rzeźb francuzkich olbrzymi posąg konny Karola W. i marmurowa grupa *Ugolino* z d z i e ć m i, umierający z głodu; według Danta — wielka energja w wykonaniu, grupa robi niemal tak silne wrażenie, jak starożytny Laokoon z dziećmi, w uściskach węża. Z mniejszych rodzajowych obrazków wyborna jest Szloessera: l e k c j a ś p i e w u. Ulicznik (gamin) trzyma pod nosem ptaka i gwiżdże mu, pyzatą twarz ułożył w dziubek, a oczy ledwie mu nie wyskoczą. Jest wiele komiczności w tym obrazku, bo ten chłopiec wcale na serjo tę naukę traktuje. Przypominają się tu podobnego rodzaju obrazki Kotsisa i Grabowskiego. — Prześliczne też są portrety francuzkie; trzeba przyznać, że naszym artystom daleko jeszcze do téj świeżości barw, wdzięku w układzie i wyrazistości fizjonomiki. Czarująca też jest i piękność tych twarzyczek francuzkich na płótnie i wytrzymują śmiało porównanie z nadesłanemi fotografiami piękności warszawskich. Najwięcéj jednak może do nas przemawiać obraz Roberta Fleury *(premier prix)*: Warszawa 8 czerwca 1861. — Treścią obrazu jest lakoniczna wzmianka w urzędowym Monitorze: „Tłum około 4000 osób, pomiędzy któremi wiele kobiet i dzieci otaczał na klęczkach kolumnę Zygmunta na placu zamkowym.... Wojsko okoliło go ze wszystkich stron.... piechota dała ognia.... *) Jak na obrazach Grottgera nie widać tu Moskali, tylko z po za dymu strzałów przebłyskują bagnety; zresztą cały obraz zajmuje procesja — mamy przed sobą ową epokę niemęj męki

*) Nr. z 12 kwt. 1861.

i ofiary — jedni padają, inni podnoszą krzyż, jednych rannych unoszą, inni naprzód się posuwają; nie wiedzieć, czy zgroza większa, czy patrjotyczny fanatyzm; ale największy zdaje się spokój: ton całego obrazu, fizjonomja każdéj osoby jest tak szczerze polska, że tylko katalog może objaśnić, że to utwór cudzoziemca.

Wystawa belgijska celuje obrazami, których przedmiot jest tylko ubocznym dodatkiem, a głównie idzie o doskonałe wyrobienie wszelkich akcessorjów, materyj, szczególnie toalet damskich w wszelkich odmianach i na wszelką porę, począwszy od negliżu, do balowych strojów. Z rzeźb odznaczają się humorystyczne grupy Leopolda *Harzé* z palonéj ziemi *(terra cota.)* Treści do tych rodzajowych scen dostarczają: *Molière*, *Shakespear*, *Berangér*, szczególnie owa piosenka, jak wnuczka przez okno romansuje, a ciemna babka nasłuchuje i woła co chwila: „Lizetko! ej ty nie przędziesz“.... Rzeczy te wykonane z lekkością, humorem i charakterystyką mają wielce oryginalny pozór, ile, że nie jesteśmy przyzwyczajeni do satyry w rzeźbie.

Pruska wystawa napchaną jest płótnami ostatnich zwycięztw; muzą, pod któréj natchnieniem te utwory powstają, jest obecny król pruski; zapału narodowego tam nie widać, a tylko jałowy, dworski jakiś, panegiryczny ton. O wielkim kartonie Kaulbacha epoka reformacyi, mówiliśmy w poprzednim liście; odpowiada mu poniekąd charakterystyczny obraz Hübnera: dysputa Eka z Lutrem wobec publiczności różnowierczéj, duchowieństwa, uczonych, cesarza i błaznów nadwornych.

Najznakomitszym jest obraz Pilotego: śmierć Cezara. Same typowe rzymskie postacie podług pozostałych biustów, postać Cezara wspaniała i w całym obrazie dziwna surowość -- czuć, że coś ważnego się dzieje.

W austrjackiéj wystawie nie ma nic, chociaż jest dużo malowideł. Gdzie nie ma narodu, nie może być narodowéj sztuki — a sztuka rządowa, obstalunkowa, nie może mieć pretensyi do poezyi.

Hiszpanja odżuwa tylko pewne wspomnienia z świetnych czasów swoich, kiedy panowała na morzu, i kiedy u niéj panowały stosy i inkwizycje.

Grecja odżuwa również w posągach klasyczne wspomnienia; ale niestać ją dzisiaj na żaden nowy pomysł. Wojna o niepodległość jeszcze nie odrodziła tego narodu, wydaje się, jakby obcy, podszywający się pod starożytną Grecją.

W wystawie duńskiéj zwracają uwagę widoki morskie i sceny z życia żeglarskiego, przez panią *Jerichau.*

Malarze szwedcy przedstawiają con amore sceny z domowego życia. A dom jest w tym północnym, zimnym kraju więcéj jak mieszkaniem i ogniskiem, prawie ojczyzną. Okoliczność ta robi wystawę szwedzką oprócz artystycznéj jeszcze i obyczajową, zapoznajemy się z całém życiem i zwyczajami tego ludu. Obrazy Fagerlina przedstawiają nam rolnika — rybaka szwedzkiego w chacie, pomiędzy swoimi. Chata uboga, ale czysta — a swoboda i wolność opromieniają twarde życie. Widzimy tam nawet sceny oświadczyn, swatów, zazdrości, naturę chwytaną jakby na uczynku. Jesteśmy patrząc niejako gośćmi u tych wieśniaków, którzy nam otwierają i dom i serce.

Patriarchalna Norwegja nie przedstawiła nam swojego życia: surowość klimatu zaciążyła tam przeważnie nad artystami, więc głównie pejsarzom się oddają.

O Rosyi nie ma co wspominać w oddziale sztuk; przeglądy wójsk, urzędowe portrety, kilka obrazów finlandskich. Jedyny charakterystyczny obraz jest: śmierć księżniczki Tarakanów. Zgłodniałą i przerażoną zalewa umyślnie puszczona woda w ciemném, okrętowém więzieniu. Biały, balowy strój ofiary dodaje okropności całéj téj scenie.

Wielce zajmującą i oryginalną jest wystawa angielska, a to z trzech powodów. Najpierw z powodu nieustającéj publiczności dżentelmenów i ledych, zachwycających się z całą swobodą swoją narodową sztuką; można się tu napatrzeć wysmukłym, białym Angielkom o czerwono-złotych włosach. Powtóre, że najwięcéj jest akwarelli, to ich specyalność; a potrzecie, że jedynie w angielskich obrazach spotykamy się z prawdziwym humorem. Ziomkowie Hogartha mają dziwnie spokojną werwę i sumienność w traktowaniu scen obyczajowych. Dowcip, obserwacya, to co nazywa się *burlesque* te same tutaj jak w ich powieściach. Thakeray z tych źródeł czerpał swoje natchnienie; Dickens tak opowiada, jak oni malują. — W wystawie amerykańskiéj przeważa pejsaż, olbrzymia, dziewicza natura, wody, lasy, góry, widoki tęczowe, to wyłączne prawie przedmioty tamtejszych artystów. Wyborny jest portret Lincolna.

Bardzo liczną jest wystawa szwajcarska, charakter jéj jeden: widoki i sceny z życia góralskiego i sielskiego. Są to powiększéj części małe, bardzo pracowite obrazki, widoki alpejskie, lodowce, lasy, wodospady; widać, że kochają swój kraj. Najlepszym jest może Humberta: pierwszy śnieg jesienny: Silny wiatr zaskoczył w górach trzodę owiec i krów, kurzawa śniegowa zaciemnia całą okolicę, pasterka ledwie się trzyma na nogach, ogromne, silne krowy poddają się prądowi; burza wszystko to gdzieś zapędzi, albo postrąca.

Z rzeźb szwajcarskich piękna jest grupa Caroniego: Siła ujarzmiona przez miłość — na lwie siedzi amorek ze strzałkami. Pomysł nie nowy, ale wykonanie bardzo wdzięczne; sympatyczna jest fizijonomia lwa, który zarówno jest zadowolony jak i nierad temu ciężarowi, który dźwiga.

Przychodzimy nareszcie do wystawy włoskiéj; obrazy są tutaj niczém w porównaniu z rzeźbą. Ziemia marmurów i pięknych kształtów przechowała nieskalanie klasyczne tradycje i niewyczerpaną świeżość fantazyi: biusta, posągi alegoryczne, postacie z Olimpu, grupy, jedne piękniejsze nad drugie. Oto przed nami mocarz — bo potęga świeci mu jeszcze z czoła i z pięknych wybitnych rysów, ale niemoc uwięziła go w karle; ciało już omdlewa i duch się już strawił — i przykryli go wełnianą kołdrą. Wspaniały jest majestat téj ruiny; któż zaręczy, czy ten Prometeusz jeszcze się nie zerwie?! Posąg ten nazywa się: Ostatnie dni Napoleona I., a artysta Vela.

Obrazy, mające ilustrować wystawę, które obecnie Grotger wykonuje, rozpoczął od tego posągu; naokoło niego ustawił publiczność francuską, a pomiędzy nią inwalidów napoleońskich, robionych z natury. Obraz ten jest już prawie wykończony. Ale idźmy daléj. Po drodze pokłońmy się wierze, nadziei, skromności, marzeniom, kilkunastu posążkom wiosny, która jak Venus z piany, z pośród kwiatów się rodzi, a zatrzyma nas zapewne Amorek żebrzący Cambiego. Podstępny hipokryta ułożył się do potulnéj minki i wyciągnął rączkę; ale niechno się tylko kto zbliży z politowaniem, lub jałmużną, a niechybnie go strzałka ugodzi — zdrajca; zostawmy go, a chodźmy do innych światów. Oto anioł leci w górę, a drugi do niego zlatuje — w powietrzu się spotkali, objęli się w uścisk i całują — to miłość aniołów Bergonzolego. Grupa ta jest to dziwo i pod względem sztuki i pod względem mechaniki: unoszą się, lecą, niedotykają ziemi, a tacy powiewni, biali, tacy miłośni — jak aniołowie przez artystę wymarzeni.

Nie daleko od nich usnęła niewinność — grupa Veli. Położyła się dzieweczka, rękę podłożyła pod główkę, usteczka na pół otwarte; okryciem jéj jest cisza i jakiś święty urok; ona śpi, nie marzy, bo sama jest marzeniem.

Błogosławieni ludzie ci artyści, że na ich zaklęcie pojawiają się i stają się ciałem ideały. Któżby nie pokochał téj niewinności, nadto któżby mógł nie uwierzyć w niewinność, skoro ją widzi, jak sobie spokojnie śpi w Paryżu.

MODY.

Poczynając nasz opis od tegoczesnych sukien, mocno-ogoniastych w kliny, które najwięcej krepinami, sznurami i paciorkami się ubierają, nadmieniamy, że również koronki gipiurowe „Cluny“, nic na swéj wziętości nie straciły.

Do teraźniejszych sukien używa się najwięcej chustka „Marie Antoinette“, zwykle z téj saméj materyi co suknia, w tyle związane końce ogarnirowane są neżą, frendzlą lub koronką.

Krótkie paletoty, których przody są w kształcie szarf urządzone, używa się tylko na spacery lub do wyjścia rannego

Kapelusiki węgierskie mają dotąd wzięcie nietylko do zwykłego ubrania, ale i do podróży. — Najbardziéj ulubione są: otoczone wieńcem z piór spiętym agrafką złotych liści. Ubierają je także zawojem krepowym, lub przepustką ze złotych liści i słomki.

Widzieliśmy mnóstwo kapeluszy najświeżéj mody, z których kilka opisów podajemy.

Okrągły kapelusz z odwiniętym rąbkiem otoczony szarfą iluziową, która po lewéj stronie spięta pęczkiem róż bęgalskich nakropionych rosą. Kapelusik węgierski cały zakryty pawiemi piórami, z boku przypięty bukiet z liści laurowych.

Daléj kapelusz w kształcie małéj chusteczki z białéj iluzyi, przybrany pąsową aksamitką, związaną w tyle pod włosami, któréj końce wraz z szarfami iluzjowemi spięte pod brodą agrafką złotą. Takież agrafki znajdują się na przełożeniu aksamitki na wierzchu kapelusza i na jéj końcach.

Kapelusz wizytowy z czarnego w złote muszki tiulu, ubrany czarnym aksamitem, szarfy aksamitne, do twarzy podpięty czarnym tiulem.

Kapelusz na wieś formą japońską z łamanéj słomki, ubrany niebieskiemi kwiatami i tegoż koloru aksamitem oraz szarfami iluzjowemi.

W końcu dodajemy kapelusz do teatru z różowego tiulu wrzutki białe paciorkowe, otoczony wieńcem z jaźminu i liści z długich wiszących traw; wiąże się w tyle pod włosami, szarfy białe iluzjowe.

Jako nowość przybyły do toalety damskiéj spodnice, których szorokość dolna ledwie $3^3/_4$ łokcia wynosi. Cztery obrączki stalowe stosunkowo ku górze zwężone umieszczone od dołu w odstępach 15tu centimetrów. Spodnica taka kraje się w kliny, najstosowniéj z paskowanéj wełnianéj materyi, z kaszmiru niebieskiego lub pąsowego, albo z białéj, cienkiéj piki. Używa się ich również do sukien klinowych długich, jakoteż do ubrań krótkich, a ponieważ je łatwo do każdéj sukni zastosować zalecamy jako praktyczne. Do najwybredniejszéj toalety dostateczne są cztery takie spodniczki i tak można jedną zrobić z białego cienkiego perkalu, dołem na obrączkach ozdobić kilkoma falbankami karbowanemi na wieczorne zebrania; dwie z grubszego perkalu z jedną szeroką falbaną w fałdy ułożoną do wyjścia codziennego; jedną wełnianą do wyjścia rannego. Ażeby te spodniczki dały się z łatwością pnć i prać, należy falbanki lekko przyszywać.

Pokazywano nam nowe modele stanów do sukien klinowych, są one z czasów Ludwika XV., z przodu otwarte, inne w kwadrat lub w zęby wycięte. Także gorsiki szwajcarskie i staniki à l'Orientale będą bardzo noszone. Staniki takie ubierają się bardzo suto, wycięte dostają koszulki bogato haftowane.

Opis ryciny.

Dołączona rycina daje dostateczny wybór jesiennych ubrań. Pierwsza i czwarta osoba przedstawia nam długą klinową suknię do wizyt, druga i trzecia ubrane są w krótkie ledwie kostek sięgające a ogólnie lubiane suknie spacerowe

Nie ma nic dogodniejszego na błotniste dnie jak krótka suknia zpod któréj widać zgrabnie ubraną nóżkę. Bciki do krótkiego ubrania dochodzą niemal do zbytku swą elegancją.

Pomijamy dalszy opis ubrań zamieszczonych na rycinie, gdyż przy objaśnieniu krojów dokładnie je opisujemy.

Opis krojów.

Fig. 1—4. **Suknia w kształcie tuniki**, do osoby pierwszéj na rycinie.

Dołączony krój na $^1/_6$ zmniejszony jest dla osoby mającéj pół szerokości piersi 48 centimetrów, lecz z pomocą miary można na każdą osobę krój zastosować, i tak robi się linia np. do krajania plecek Fig. 1. począwszy od *a.*, mierzy się od szerokości *a.* na

dół liczbami oznaczoną linię; otóż przy plecach wypadnie od *a*. liczba 7½, 10, 30 i t. d. ku dołowi w tychże odstępach kropkami oznaczona. Gdy już wszystkie linie długości są zrobione, odznaczają się linie szerokości, na których znowu szerokość podług miary się odznacza, a w końcu robią się wszystkie zarysy kroju z wolnéj ręki. Tym samym sposobem kraje się tunika Fig. 2; oznaczony przód jest dość mocno wycięty, pod którym się daje ciepły staniczek wełniany lub stanik z téjże saméj materyi, albo pozostaje zupełnie wycięty jak to na rycinie widzimy. Rękaw Fig. 4. jest długi i otwarty, jak za czasów Ludwika XIV noszony bywał.

Fig. 5—7. **Stan wysoki** do osoby drugiéj na rycinie. Jest to staniczek w rodzaju katanki wciętéj, dla osoby mającéj pół szerokości piersi 46 centimetrów; do przykrojenia takiego stanika postępuje się tak jak wyżéj opisano. Sposób zrobienia widzimy dokładniéj na rycinie.

Fig. 8—12. **Casak** osoby trzeciéj, jest to rodzaj peplumu, złożonego z dwóch części Fig. 11—12. Stan jest mocno z przodu otwarty i obcisły, z pod którego widać noszoną suknię. Osoba na na rycinie przedstawia dokładny sposób zrobienia takiego casaka, który także z téj saméj materyi co suknia robiony bywa. Krój jest na osobę, mającą pół szerokości, 45 centimetrów, na ⅙ część zmniejszony.

Fig. 13—16. **Żakiet jesienny** osoby czwartéj. Bardzo ładne i stosowne ubranie jesienne przedstawia dołączony żakiet, którego poły są pojedynczo, a jednak bogato i gustownie ozdobione. Podług wzoru na arkuszu krojów, można także do ubrania użyć krepiny, lub roskosów jedwabnych z paciorkami.

Fig. 17—19. **Żakiet** podług zarysu Fig. 20, na arkuszu krojów. Widzimy znów inny rodzaj żakietu, który naśladuje zarazem kamizelkę, czyli staniczek. Ubrany jest krepiną, lub paskiem jedwabnym w odmiennym kolorze i na około płaskiemi, jedwabnemi guzikami ubrany. Można także użyć do tego guzików szklannych, lawowych, lub metalowych. Fig 20. przedstawia żakiet wykończony.

Fig. 21—24. **Paletot jesienny**, do zarysu fig. 25. Najlepiéj wygląda taki paletot z popielatego, miękkiego kortu: ubrany bławatną piką, lub aksamitem z takimże paulettem. Resztą jego ubrania są szmuklerskie, błękitne guziki.

Fig. 26—30. **Jesienny żakiet** do zarysu Fig 31. Krój jego jest zupełnie obcisły, poły w rodzaju pepluma, w tyle szerokie szarfy, przytrzymane paskiem.

Fig. 32. **Nowe wyszycie.** Wyszycie to może być z szutaziu, lub ściegiem łańcuszkowym zrobione, kropki na wyszyciu są to paciorki, które na samym ostatku się przyszywają. Takie wyszycie służy do sukien dołem, lub do paletotów.

Model stanika w naturalnéj wielkości.

Dołączywszy tak znaczny wybór w krojach na suknie i casaki, zamierzyliśmy w interesie czytelniczek najnowszy krój stanika w naturalnéj wielkości z papieru dołączyć.

Staniki są dotąd dosyć krótkie, w pasie równo ścięte i paskiem opasane. Model dołączony jest zupełnie pod szyją spięty, lecz przez podwójny rękaw, jeden długi i wąski, drugi krótki i otwarty, od innych się różni. Wierzchni rękawek może być neżą jedwabną lub wyszyciem paciorkowém ubrany. Krój tegoż stanika jest dla osoby mającéj pół szerokości 45 centimetrów, a polecamy go jako doskonały.

— **Piszą nam ze Lwowa:** Miasto nasze rośnie jak na drożdżach, z przybytkiem ludności wzmaga się widocznie ruch przemysłowy, umysłowy i towarzyski. Kasyno nasze rozwija się w jedynie odpowiednim towarzyskim kierunku, jako miejsce dla wspólnéj pogadanki, wypoczynku, porozumienia się i zabawy. Członkowie zapełniają prawie codziennie sale, zasiadając koło stołów; lub przechadzając się wśród żywych rozpraw o wszystkiem, co nas obchodzi. Perjodycznie bywają urządzane wieczorki muzykalne; po ukończeniu produkcyj zdejmuje się sukno z posadzki i odbywa się zabawa tańcująca. W ten sposób i rodziny członków kasyna biorą udział w korzyściach tego zakładu. Towarzystwo sztuk pięknych zyskuje coraz więcéj akcjonarjuszów, a wszyscy artyści przygotowują swoje prace na przyszłą wystawę, która się ma odbyć w lutym 1868 r. P Filippi rzeźbiarz niedawno do nas przesiedlony, zyskał już powszechne uznanie dla swoich prac i talentu. Wykonał znakomite biusta śp. M. Romanowskiego, W. Pola, prześliczny medaljon pani Modrzejewskiéj, oprócz wielu innych prac, pomników, odrestaurował kościół żółkiewski, a wkrótce mają mu być oddane do restauracyi pomniki u Dominikanów....

Jednem ze zdarzeń, z którego całe miasto nasze wielce się raduje jest, że p. Felicja Wasilewska otwarła na nowo w tym roku swój zakład wychowawczy żeński, którego brak przez cztery lata dotkliwie nam się uczuć dawał....

— Wyszła obecnie w osobném odbiciu gawęda **J. K. Turskiego:** ***Morawski, rzeźnik konfederat.*** Jest to jeden z najlepszych utworów tego autora, odznaczający się werwą, humorem, jędrnością języka. Oprócz wartości poetycznéj należy ta książeczka do rzędu wielce popularnych dziełek, do czego téż i nizkość ceny jest zastosowaną. **20 c.** Nabyć można w biurze „Kaliny".

— P. ***Józef Braun*** polak-emigrant, posiadający zakład litografii artystycznéj w Genewie, wydał obecnie Pomnik **Tadeusza Kościuszki w Solurze w Szwajcaryi**, piękna chromolitografia w dziesięciu kolorach, wielkości 15, szerokości 11 cali. Cena egz. 1 złr. w. a.

Czyniąc zadosyć prośbie wydawcy, ofiarujemy chętnie pośrednictwo nasze w celu nabycia téj pracy wykonanéj w polskim zakładzie za granicą.

— Życzący sobie przystąpić do **Towarzystwa sztuk pięknych** we Lwowie, mogą nabywać akcyj w biurze „Kaliny". Nabycie jednéj akcyi za 5 złr. 25 c. nadaje prawa członka towarzystwa,: bezpłatny wstęp na wystawę, coroczne premium, prawo do wygrania obrazu przy losowaniu, prawo wglądania w czynności dyrekcyi. Akcje mogą być na żądanie i pocztą przesyłane.

— Na pamiątkę obchodu żółkiewskiego poświęcenia starożytnego kościoła, a przeznaczając część dochodu na restauracją pomników narodowych lwowskich — wydaje p. *Szajnok* we Lwowie Album Żółkiewskie z 6 fotografij i odpowiedniéj winiety w dwóch formatach; większe po cenie 12, mniejsze 7 złr. w. a. Subskrypować można na to album płacąc zaraz połowę ceny — drugą przy odbiorze — co również przez biuro „Kaliny" załatwiać można.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu".

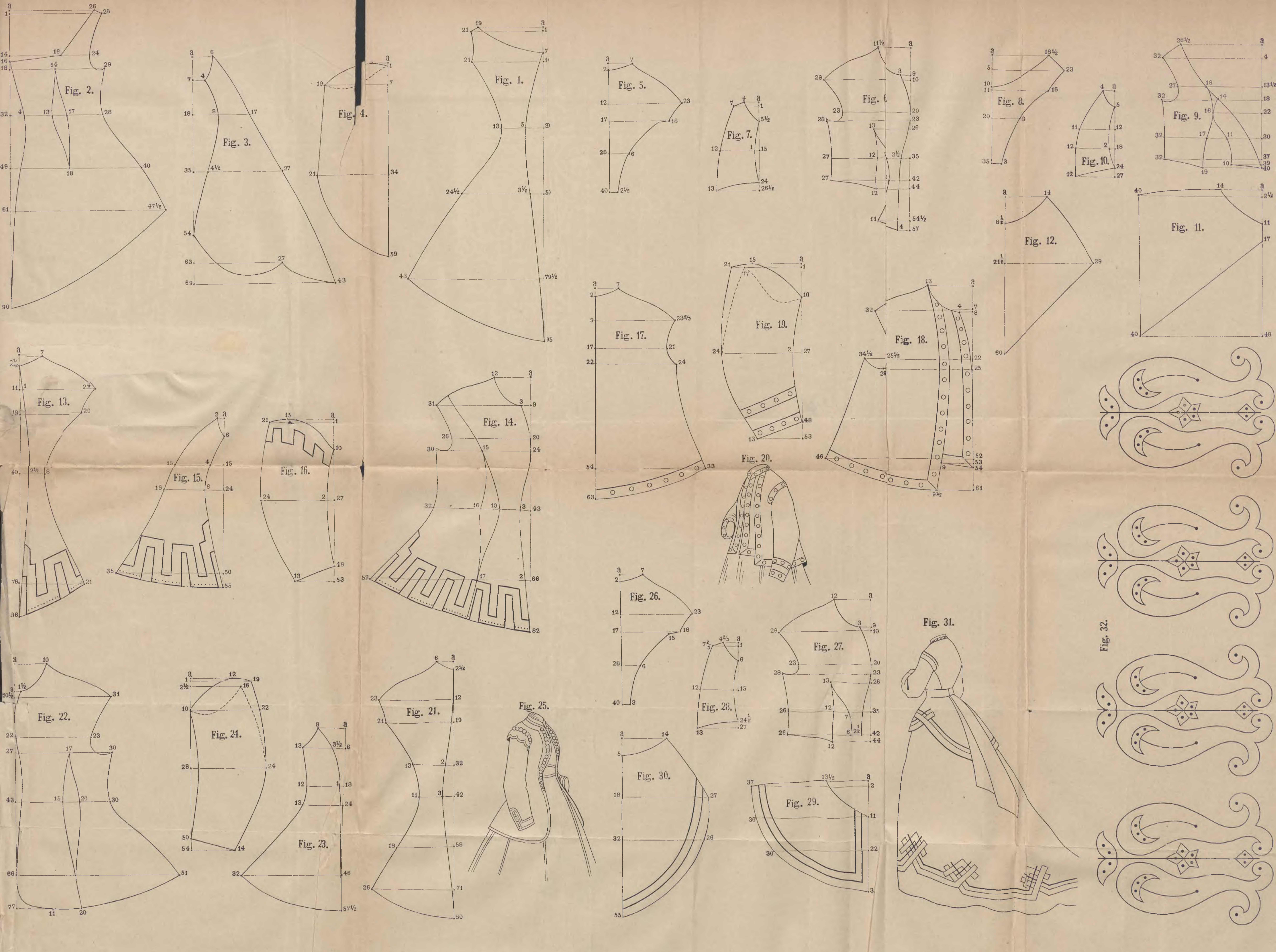
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.


Fig. 1.
Fig. 2.
Fig. 3.
Fig. 4.
Fig. 5.
Fig. 7.
Fig. 8.
Fig. 9.
Fig. 10.
Fig. 11.
Fig. 12.
Fig. 13.
Fig. 14.
Fig. 15.
Fig. 16.
Fig. 17.
Fig. 18.
Fig. 19.
Fig. 20.
Fig. 21.
Fig. 22.
Fig. 23.
Fig. 24.
Fig. 25.
Fig. 26.
Fig. 27.
Fig. 28.
Fig. 29.
Fig. 30.
Fig. 31.
Fig. 32.